

Opowiadanie "Po drugiej stronie szyby" cz. 3

Wyjrzałem ostrożnie zza liści i badałem dno. Wyczuwałem jakąś nieuchwytną zmianę w otoczeniu i dopiero po chwili zorientowałem się, że w przedpokoju zapaliło się światło. Moja żona wróciła. Rzuciłem się w stronę mojej wypisanej czarnymi kamyczkami wiadomości. Zniknęła! Zostały po niej wyłącznie żałosne sterty żwiru. Za moimi plecami rozległ się szyderczy rechot, więc odwróciłem się gwałtownie i stanąłem oko w oko z tym porąbanym skorupiakiem. Nienawiść stłumiła racjonalne myślenie, nawet się nie zdziwiłem, że rak potrafi się śmiać i do tego złośliwie.

– Zabiję cię! – wrzasnąłem i, nie zważając na zdecydowanie większe gabaryty przeciwnika, ostro natarłem.

– Chciałbym to widzieć – odezwał się rak zblazowanym głosem.

Zdumienie osadziło mnie w miejscu. Przełknąłem siebie w roli gupika, zaakceptowałem hrabiego muchę, ale gadający rak? Mój rak? Ten sam, za którego zapłaciłem 150 złotych w sklepie akwarystycznym? Wtedy właśnie zrozumiałem, że to wszystko mi się śni i za Boga nie mogę się obudzić. Paradoksalnie, z punktu poprawił mi się nastrój. W końcu skoro to wszystko nie dzieje się naprawdę, to nic mi nie grozi.

– Od kiedy to skorupiaki potrafią gadać? A jeśli potrafią gadać, to może niech taki jeden idiota odpowie mi łaskawie, co mu przeszkadzał mój napis na piasku? – zapytałem wobec tego agresywnie i bez cienia strachu w głosie.

– Siedzę w tym tak samo jak ty, baranie – skomentował, niezupełnie odpowiadając na zadane pytania. – Tylko, że ty możesz się stąd wyrwać, a ja nie mam szans! To se razem posiedzimy – zarechotał.

Porażony absurdem sytuacji parsknąłem śmiechem a z moich rybich ust posypały się perlister bąbelki. Do boku łasiła się samica, naprzeciw mnie stał rak i właśnie ogłaszał, że także jest ofiarą inwersji bez szans na powrót do własnego ciała, a do tego rybia brać właśnie wzmogła kotłowanie w okolicach uchylonej pokrywy. Do kuchni weszła moja żona i pochyliła się zaglądając do wnętrza akwarium. Przez chwilę patrzyła uważnie a potem sypnęła do środka szczyptę pokarmu. Gupiki zwariowały.

– Jesteś tu? – zapytała moja żona.

Zdębiałem i podpłynąłem do samej szyby a wraz ze mną cała banda ryb. Nie dało się ich odgonić. Niczym się od nich nie odróżniałem. Chciałem dać żonie jakiś znak, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

– Chyba kompletnie zwariowałam – powiedziała, gasząc jednocześnie światło w moim więzieniu.

Po raz pierwszy od chwili gdy tu utknąłem wodę spowił mrok. Kompletnie zdezorientowany tłukłem się pomiędzy roślinkami, po omacku próbując trafić do swojej kryjówki.

– Nie chcesz wiedzieć kim jestem? – głos dobiegł z niebezpiecznie małej odległości.

Wzmogłem czujność i nie zaryzykowałem odpowiedzi. Po cichu wycofałem się pod pierwsze zarośla, o jakie otarł się mój ogon.

– Wiem gdzie jesteś, przede mną się nie ukryjesz – rak ewidentnie się nudził.

Kuźwa, czym ja sobie zasłużyłem na to wszystko? Jakby wszystkiego było mało, mój prześladowca widzi w ciemnościach, podczas gdy ja jestem ślepy jak kret?

– Otóż musisz wiedzieć, że jestem ważnym politykiem i swoją obecną postać zawdzięczam niefortunnemu spotkaniu podczas próby zjedzenia obiadu.

Nawet najłżejszym szmerem nie zdradzałem swojej lokalizacji. Wzmianka o polityku dodatkowo wzmogła moją czujność.

– To było w Tajlandii. Podeszedł do stolika taki jeden kitajec, czy jak mu tam i zaciągnął mnie do akwarium. Przykucnąłem, zajrzałem i po chwili siedziałem już w środku. A moje ciało padło jak długie, zresztą dokładnie wiesz jak jest, więc co ci będę gadał. Co z nim dalej zrobili, to już nie wiem. Ja natomiast uratowałem się cudem. Pewnie skończyłbym na kupce ryżu, ale następnego dnia do knajpy przyszła grupa nawiedzonych akwarystów, takich łowców gatunków. Ich także kelner cholerny powiódł przed szybę i wtedy jeden z nich wskazał na mnie palcem i zaczął gorączkowo coś tam gadać. Chyba po angielsku gadał, bo nic nie rozumiałem, ale przeżegnałem się szczypcami, bo poczułem, że mój czas się kończy i zaraz wyląduję we wrzątku. Szczęście się jednak do mnie uśmiechnęło. Zapakowali mnie w foliowy worek i wręczyli temu gościowi. Ten sprzedał mnie innemu kolesiovi i dalej już poszło. W końcu trafiłem do akwarystycznego w którym mnie kupiłeś.

Na swoje nieszczęście najwyraźniej, pomyślałem i bezszelestnie odpłynąłem głębiej, do samego systemu korzeniowego rośliny.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest moje ciało. Pewnie zostało w Tajlandii – głos raka przeszył nocną ciszę akwarium.

Nie odpowiedziałem. Siedziałem przy korzeniu i nasłuchiwałem. Cisza, której tłem był kojący szmer brzęczyka podziałała usypiająco nie tylko na mojego prześladowcę. Odpłynąłem i śniłem.

Wstałem z fotela i przeciągnąłem się. Żona, zwinięta w kłębek na kanapie oglądała jakieś pierdoły w telewizji. Miałem na dzisiaj dość komputera. Poszedłem do kuchni po piwo.

– Nakarm ryby, dobrze? – zawołała żona z pokoju.

Otworzyłem butelkę i postawiłem ją na kuchennym blacie. Z

szafki wyjąłem opakowanie wybitnie śmierdzącego żarcia dla ryb. Wsypałem odrobinę do akwarium i usiadłem na stołku. Lubiłem podglądać wodne życie zamknięte w szklanym więzieniu.

Pomiędzy gupiki wpadł rak, cholerny pasożyt i destruktor. Ryby rozpierzchły się na boki, ale jeden młody samiec nie zdążył. Niebieski skorupiak chwycił go szczypcami a ryba wiła się rozpaczliwie. Słuszny gniew we mnie zagrał i wsadziłem rękę do wody. Bacznie śledząc sytuację w akwarium manewrowałem dłońią, by uchwycić cholernika. Gdy w końcu go unieruchomiłem, ten wyciągnął w stronę szyby wijącą się rybę. W jej oczach widać było strach i cierpienie.

Koszmar ma to do siebie, że kończy się gwałtownym przebudzeniem. Wzdrygnąłem się i zassałem ogromną masę wody w próbie krzyku. Właściwie dobrze się stało, że z moich rybich ust nie wydarł się żaden dźwięk, bo dzięki temu uchwyciłem strzęp wielce interesującego dialogu.

– Wczoraj mu powiedziałem, chyba mocno nim wstrząsnęło – szeptał rak.

– Czyli wszystko przebiega według planu? – zabzyczał dyskretnie Bogdan.

– Zgadza się.

– Mam nadzieję. Ściągnięcie go do środka zajęło nam dwa tygodnie. Nie wiem jak ty, ale ja czuję, że mucha nie dożyje jesieni. Kończy mi się czas.

– Rak chyba też młody nie jest, a do tego żona gupika ma teraz inne sprawy na głowie i nie czyści filtrów.

– Nie narzekaj, dobrze? To jest element planu, jakoś to przeżyjesz. Chłoptaś jest już nasz. Dobrze, że ten napis mu zniszczyłeś.

– No a co miałem zrobić? Nie może uciec za wcześnie. Najpierw musimy mu pokazać, że bez nas nie da rady uciec.

– Trzymaj rękę na pulsie. Ja wrócę koło południa. – zabzyczał mucha i odleciał.

Moje myśli galopowały. W niepojęty dla mnie sposób te dwa sukinsyny obserwowały mnie przez ostatnie tygodnie i uknuły dziwaczny spisek. Mamy być ich sposobem na ratunek. Musiałem robić dobrą minę do złej gry. Jeśli będę spektakularnie naiwny, wówczas kochani koledzy uczynią wszystko żebym uciekł. Oczywiście w nadziei, że z wdzięczności odnajdę ich ciała. Gwoli ścisłości gazety czytam regularnie i wiem, że ciało polityka sprowadzono do kraju. To jednak był ten wycinek wiedzy, którym zdecydowanie nie zamierzałem się dzielić ani ze skorupiakiem, ani ze zdradzieckim muchą. Podejmując decyzję wypłynąłem spomiędzy liści. Rzut oka na lekko rozmyty z tej perspektywy ścienny kalendarz wskazywał, że właśnie w bólach szarego świtu rodziła się sobota. Żona z pewnością spała. Rozkosznie zaróżowiona, zakopana w satynę kołdry. To dawało mi czas na działanie.

– Ej! – krzyknąłem w stronę jaskini skorupiaka.

– Czego? – odpowiedział, nieudolnie symulując głos wyrwanego ze snu niewinnego raka.

– Słuchaj, może jakoś sobie pomożemy?

Rak wyszedł przed chałupę i rozpostarł imponujące cielsko na piasku. Jego wąsy, dłuższe niż cały odwłok nieprzerwanie skanowały dno.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Znajdę twoje ciało, tylko pomóż mi stąd wyjść – wypaliłem.

Durny polityk najwyraźniej właśnie na to czekał.

– Wiesz kim jestem? – zapytał.

– No pewnie, w mediach podawali relacje z wyjazdu posła z ramienia ...

– Dobra, dobra. Cicho – wrzasnął rak. – Sprawdzisz wszystko w googlach, tak?

– Wszystkiego się dowiem, nie przejmuj się. Jest tu jeszcze taka mucha ... – zawiesiłem wyczekująco głos.

– Mucha? Jaka mucha? – zapytał niewinnie polityk w chitynowym pancerzyku.

– No hrabia Bogdan, też zamieniony, tyle że w muchę. Musiałeś słyszeć nasze rozmowy – wyjaśniłem chytrze.

– A coś tam bzyczało, ale nie mam w zwyczaju podsłuchiwania, więc wybacz ...

Jasne, pomyślałem. Nie masz w zwyczaju tak jak ta cała twoja partia. A nie nagrywałeś tylko dlatego, że nie miałeś na czym.

– No tak – odparłem. – To może zreferuję w skrócie przebieg naszych rozmów. Hrabia Bogdan tkwi w ciele muchy już ponad miesiąc i niefortunnie nie ma pojęcia, gdzie zostało ułokowane jego własne ciało. Odkrył sposób jak odwrócić inwersję i ...

– Inwersję? – wtrącił obłudnie rak.

– Inwersja to zamiana tożsamości – starałem się zachować neutralny ton. – Dlatego tu jesteśmy, ale jeśli będziemy współpracować, to wydestaniemy się z tego wszyscy trzej.

– Skąd to przekonanie? – polityk podsunął sobie do otworu gębowego świeżutki liść mojego bezcennego anubiasa i zaczął go beznamiętnie przeżuwać.

– Ponieważ jako jedyny wiem, gdzie jest moje ciało, prawda? Wystarczy skomunikować się z moją żoną, ale jeśli będziesz psuł moje wiadomości, to raczej nic z tego nie wyjdzie! – odparłem z mocą.

– Bracie! – wrzasnął z entuzjazmem rak – Pomożemy!

Czując się jak na wiecu partii uśmiechnąłem się krzywo i

wróciłem do konstruowania napisu. Po chwili na piasek wytoczył się fałszywy skorupiak i zaczął popychać na środek czarne kamyczki. Praca zajęła nam mniej więcej dwie godziny, ale efekt był imponujący. HELP było jeszcze wyraźniejsze, ułożone z podwójnego rzędu kamyków. Żona musiała to zauważyć.

Z rozgłośnym bzyknięciem nadciągnął hrabia i przysiadł na skraju pokrywy.

– Ach przyjacielu, cóż moje oczy widzą! – eksplodował egzaltacją.

– Witamy! – odparłem, uzbrajając się w czujność.

– Powinszować napisu.

– Nie tylko moja w tym zasługa. Proszę pozwolić, że przedstawię pana Stanisława..

– Uszanowanie! – wtrącił się rak.

– Pan Stanisław, poseł z ... – z całych sił grałem głupka.

– Niezmiernie jestem rad z tej znajomości! – znów wciął się polityk.

– Ja również i pozwolę sobie wyrazić swoją radość widząc panów poczynania. – zabrzączał Bogdan.

– Myślę, że to powinno zadziałać i wkrótce wszyscy trzej znajdziemy się w zupełnie innych okolicznościach – skorupiak akcentując słowo „zupełnie” najwyraźniej sugerował zgrabną akcję korupcyjną.

– Ja ze swojej strony z pewnością nie omieszkam panów ugościć w naszych rodzinnych stronach! – Bogdan oczami wyobraźni już dekorował sale pałacu kolorami partii.

– Myślę, że moja żona zrozumie napis, ale nie będzie wiedziała co z tym fantem zrobić. Potrzebne będą dalsze informacje. Czy macie panowie jakieś pomysły? – zapytałem.

– Drogi przyjacielu! Jeśli to nie pomoże, to wypiszemy instrukcje cukrem na kuchennym blacie, albo ponownie ułożymy informacje na piasku. Damy radę. – uspokajająco zaszemrał hrabia.

– Przyjaciele! – zaczął uroczyście rak i momentalnie umilkł.

Do kuchni weszła żona. Mucha pospiesznie umknął a rak wycofał się za kamienie. Gupiki, kompletnie nieświadome dramatyzmu sytuacji, chmarą wypłynęły spomiędzy krzaków w nadziei na sesję karmienia. Moja kobieta włączyła światło w akwarium i zamarła. Jej usta bezgłośnie się poruszały. Bez trudu wyczytałem swoje imię. Żona próbowała przeniknąć wzrokiem wewnątrz i mnie namierzyć. Po chwili poddała się z westchnieniem zawodu i nasypała szczodłą porcję żarcia. Wyszła, gasząc uprzednio światło. Gdybym miał się zakładać, to powiedziałbym, że pojechała do szpitala. Miałem nadzieję, że po moje ciało.

...

– Więc może ktoś w końcu mi powie, jakie są rokowania? – wycedziła żona Krzysztofa z całych sił powstrzymując krzyk.

Lekarz, student właściwie, taki młody dupek, któremu już zdołano wszczepić rozbuchaną godność osobistą w miejsce wiedzy, wzruszył arogancko ramionami. Gwoli ścisłości, spędził cały dzień na kuciu łacińskich cytatów, bez których nie da się parzyć kawy docentom. W efekcie nie widział żadnego pacjenta, a już z pewnością faceta o którego pytała kobieta.

– Rokowania są pomyślne! – zełgał na poczekaniu.

– Czyli?

Ze skrzypieniem przedwojennych łożysk środkiem korytarza przetoczył się wózek kuchenny. Porcje parówek, oblepione nabytym w niedogrzanym korytarzu tłuszczem, łypały filuternie.

Kobieta, przełykając dzielnie kompletny absurd podawania

zapakowanej w podłużne folijki siekanki ściągien, oczu i mózgow osobom na ścisłej diecie, zmiażdżyła pogardliwym spojrzeniem gówniarza w szarawym kitlu. Gnój nadawał się do pożarcia i zjadliwej notki w Fakcie, ale paradoksalnie miał głos decyzyjny w sprawach życia i śmierci. Zwłaszcza tego drugiego. To sprawiło, że zmusiła twarz do przybrania wyrazu łagodnej zadumy i oczy do cieleącego spojrzenia, które miało zasygnalizować durniowi, że jest boski, mądry i wspaniały, a mała kobietka niczego nie rozumieć i kochać mądry pan doktor z młodzieńczym trądzikiem.

– Czy męża można teraz odwiedzić? – zapytała aksamitnym głosem.

– Nie widzę przeciwwskazań – zagulgotał, choć nie miał pojęcia o kim mowa. Jak mu starsi koledzy tłumaczyli, fakt opieki nad oddziałem to sprawa umowna, a pacjentów świetnie doglądają pielęgniarki.

Żona Krzysztofa bez słowa wyminęła młodego debila, który wkrótce będzie debilem w średnim wieku a jedyną różnicą między nimi będzie tytuł naukowy tego drugiego. Korytarz był obstawiony łózkami z chorymi, którzy usiłowali skrywać dolegliwości pod przykrótkimi kołdrami – jedynym gwarantowanym przez szpital narzędziem dyskrecji. Pogodzeni z losem, co jest eleganckim określeniem umierających, pacjenci mimowolnie obserwowali kobietę. Ostatni dowód na istnienie prawdziwego życia poza murami umieralni.

Krzysztof leżał dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej widziała go poprzednio. Pogłaskała go po policzku. Mężczyzna zatrzepotał dłońmi i na chwilę otworzył niewidzące oczy.

...

Co chwilę zerkałem, w nadziei, że zauważę jakiś ruch w kuchni, ale nic się nie działo.

Rak wylazł i usadowił się na środku kamienia. Nie komentował,

żarł liście anubiasa i od niechcienia popychał czarne kamyczki w literze H.

Milczeliśmy, choć każdy z innego powodu.

...

Ukraść wózek i dźwignąć Krzysztofa to była bułka z masłem. Przejście przez korytarz i próba przedostania się do windy też nie była tak wielkim problemem. Nawet dotarcie poza teren szpitala po wyszczerbionym podjeździe dla inwalidów było wykonalne. Zamówienie stosownej taksówki dla osób niepełnosprawnych już nie.

Po kilkunastu nieudanych próbach, żona Krzysztofa zdarła z siebie płaszcz i troskliwie owinęła nim ciało. Po czym z wysiłkiem pchnęła wózek w górę ulicy.

...

Zawsze ufałem w zdrowy rozsądek mojej żony i jej racjonalne spojrzenie na świat. Byłem pewien, że zrozumiała i próbuje mnie uratować.

– Panie Hrabio – zagaiłem, próbując zyskać na czasie. – Zechce mi Pan opowiedzieć co nieco o losach pańskiej szlacheckiej rodziny?

Wiedziałem, że taki haczyk nadęty mucha z pewnością łyknie.

– Ach, doprawdy niezmiernie jestem zaszczycony, że Pan o moją szlachecką rodzinę się dopytuje. Otóż w XII wieku nasz protoplasta Sebastian, w swej umysłu przenikliwości żupnikiem będąc ...

Bla bla bla, pomyślałem bez grama szacunku dla protoplasty Sebastiana i niecierpliwie zerknąłem do kuchni. Gdzieś tam, na granicy słyszalności rejestrowałem kolejne perypetie krewniaków Bogdana. Mucha wyraźnie się rozkręcił i właśnie dochodził do połowy XVIII wieku. Rak trwał nieporuszony na

kamieniu.

Do kuchni zakradło się światło z przedpokoju.

...

Wtłoczenie wózka do mieszkania nie było skomplikowane. Problem tkwił w kuchennych futrynach, za wąskich, by swobodnie przetoczyć staromodny wózek przez próg. Krzysztof był zbyt ciężki, by wnieść go do kuchni, więc kobieta wyjęła ze schowka dłuto, dzięki któremu zawsze przycinali na odpowiednią grubość pień choinki. Z determinacją godną słusznej sprawy przerabiała na drzazgi odporne drewno przez dobrą godzinę.

...

Hałas odłupywanych futryn był ogłuszający. W wodzie głos roznosi się zupełnie inaczej, a gwałtowne dźwięki sprawiają ból. Siedzący na brzegu pokrywy Bogdan zupełnie tego nie dostrzegał i w swoich opowieściach właśnie docierał do połowy XIX wieku.

Czekałem.

...

Przepchnięcie wózka przez żalosne wspomnienie eleganckich futryn okazało się proste i po chwili wózek znalazł się przed akwariem. Ryby jak zwykle zleciały się w nadziei na żarcie. Kobieta podeszła i chwyciwszy ciało męża za włosy nakierowała jego zamknięte oczy na zbiornik.

...

Odgoniłem samice i podpłynąłem do szyby. Wraz ze mną kotłowało się kilku innych samców, ale tym razem miałem pewność, że uda mi się wyróżnić. Trzymałem w pysku odgryziony przez posła Stanisława liść anubiasa.

Musiała mnie poznać.

...

Jedna z ryb zaczęła wariować. Podpłynęła z liściem w pysku. Zataczała się pod jej ciężarem kręcąc w okolicach filtra dziwaczne młynki. Krzysztof.

...

Za szkłem żona strzeliła moje ciało z całej siły w pysk. Oczy ciała otworzyły się w nagłym szoku i wpiły się w szybę wyrażając bezmierne zdumienie. Schwyciłem spojrzenie i, z miażdżącym wolę życia przerażającym dźwiękiem, poszybowałem w chwilowy niebyt.

...

Powrót do ciała okazał się bolesnym doznaniem. Ciężenie sprawiło, że załkałem z tęsknoty za wodą, kończyny nie chciały mnie słuchać a do tego w całym ciele czułem ból odleżyn. Niczego nie rozumiałem. Łacińskie źródła hrabiego nie kłamały. Dopadła mnie czasowa amnezja.

– Jak się czujesz? – zapytała troskliwie żona niecierpliwie odganiając muchę.

Skinąłem głową, starając się włożyć w gest maksimum entuzjazmu.

– To dobrze kochanie – powiedziała. – Jezu, jak mnie ta mucha wkurwia! – Moja ukochana chwyciła gazetę i pacnęła od serca owada.

Dopiero kilka tygodni później przypomniałem sobie, że ową muchą był Bogdan ale pewności nie miałem, podobnie, jak nigdy bym się nie przyznał, że byłem gupikiem. Wkrótce odzyskałem władzę w rękach i w nogach.

Akwarium z gupikami żona oddała sąsiadowi, ale ten całkiem

głupi nie był i stanowczo odmówił przyjęcia raka. Kiedyś, dawno temu dostałem w prezencie na urodziny małe akwarium wyposażone w filtr i światło. Taki zestaw dla debila i policzek dla profesjonalnego akwarysty. Zapakowałem tam skorupiaka. Zbiorniczek ulokowałem naprzeciw telewizora, który z upodobaniem nastawiam na debaty wyborcze. Niech i poseł Stanisław ma coś od życia.